Ewa Thompson: O wydawaniu książek [FELIETON]

Autorzy i wydawcy z Wysp Brytyjskich i innych anglojęzycznych krajów są dla zagranicznego czytelnika bardziej wiarygodni niż Polacy. Aby zbudować kolekcje książek o polskiej historii w krajach anglojęzycznych trzeba przynajmniej pokolenia. Niemcy i Rosjanie robią to od wielu pokoleń – pisze Ewa Thompson w kolejnym felietonie z cyklu „Widziane z Houston".

Właśnie dziś (27-go sierpnia) znów się to zdarzyło. Kolega akademicki, lekarz z wykształcenia, pisze do mnie mejla z prośbą o podanie paru tytułów książek o historii Polski, które uważam za warte przeczytania. Kolega jest w Warszawie na jakiejś konferencji. Tytułów potrzebuje nie dla siebie, ale dla swego kuzyna, który został oddelegowany przez amerykańską instytucję do Polski, do pracy z ukraińskimi uciekinierami.

A więc znowu to poczucie niezręczności. Cóż mam mu polecić? Książki Daviesa są dobre, ale kończą się na Solidarności. „Bitter Glory" Richarda Watts'a kończy się na drugiej wojnie światowej. „Rising '44" Daviesa to jedynie powstanie warszawskie. Państwo wielkości Polski powinno produkować historię „dla zagranicy" przynajmniej raz na dziesięć lat. Oczywiście po angielsku lub nawet w kilku językach obcych. Historię Polski, podkreślam, skierowaną na zagranicę, a nie na usatysfakcjonowanie polskiej sympatii do symboli, pomników, upamiętnień, rocznic, co niewątpliwie jest ważne i pożyteczne na domowy użytek, ale co spotyka się z zimną obojętnością poza granicami Polski. Historię wyjaśniającą polskie interesy, dlaczego są one takie, a nie inne. Takie książki nie mogą być budowane na fantazjach, jak Jamesa Michenera „Poland", ale nie mogą też być nudnymi akademickimi encyklopediami. Muszą być łatwe w lekturze i ciekawe. Zdolne do produkowania wiarygodnych cytatów, ale nie całkowicie przeżarte przez przypisy.

> *Aby zbudować kolekcje książek o polskiej historii w krajach anglojęzycznych trzeba przynajmniej pokolenia*

Poleciłam mu więc Daviesa, Butterwicka „Polish-Lithuanian Commonwealth” i Moorehouse’a „First to Fight”. Wspomniałam o Adama Zamoyskiego „Polish Way”. Wśród tych, bardzo zresztą dobrych, książek nie ma ani jednej, która obejmowałaby całą historię Polski.

Tak, autorzy i wydawcy z Wysp Brytyjskich i innych anglojęzycznych krajów są dla zagranicznego czytelnika bardziej wiarygodni niż Polacy. Aby zbudować kolekcje książek o polskiej historii w krajach anglojęzycznych trzeba przynajmniej pokolenia. Niemcy i Rosjanie robią to od wielu pokoleń.

Pytam więc, gdzie są te książki? Bo jednak to w książkach, a nie w Internecie utwierdzany jest wizerunek europejskich narodowości. Mam u siebie w bibliotece sporo polskojęzycznych tomów, niektóre z nich dobre, niektóre jeszcze lepsze, a pozostałych w żadnym wypadku nie poleciłabym zagranicznemu czytelnikowi. Nie dlatego, że reprezentują pogląd na świat różny od mojego: po prostu są nudne, śmiertelnie nudne. Wydaje mi się, że polscy historycy w żaden sposób nie odnieśli się do konieczności podobania się czytelnikom, jeżeli chce się, aby to, o czym piszemy, też się im podobało. Historyk musi być dobrym pisarzem, a nie tylko dobrym historykiem. Zastanawiam się, czy sztuka pisania jest uwzględniana w ocenach prac doktorskich i habilitacyjnych na wydziałach historii polskich uniwersytetów?

Odnoszę wrażenie — i przyznaję, jest to spojrzenie z zagranicy, a nie od wewnątrz — że polscy historycy wyprodukowali ogromną ilość książek przyczynkarskich, niektóre z nich świetne i świetnie nadające się do cytowania—ale nie widzę książek świadomie skierowanych na zagranicę, z historią Polski wbudowaną w historię Europy. To jeden z wielu rezultatów skolonizowania: przez całe pokolenia celem do osiągnięcia była niezawisłość, a nie sposoby budowania wizerunku polskości. Jak słusznie powiedział Józef Piłsudski, w jednym ze swoich

przemówień, inne szczęśliwsze narody mogły zajmować się budowaniem wizerunku w warunkach pokojowych, podczas gdy Polacy od stuleci zaangażowani byli w zbrojne zdobywanie okruchów niezawisłości.

Wydanie książki w znanym — lub przynajmniej poważanym — wydawnictwie amerykańskim daje jej nieporównanie większe szanse na zaistnienie wśród czytelników, niż wydanie jej sposobem chałupniczym

Naturalnie liczy się także jakość redagowania tekstu. Trzeba wreszcie skończyć z poglądem, że wystarczy dać maszynopis do przejrzenia osobie, której ojczystym językiem jest angielski (jeżeli książka jest napisana po angielsku) i tekst będzie świetnie zredagowany. Nic z tych rzeczy. Sztuka edytowania jest czymś, co odróżnia pierwszorzędnie wydane książki od takich sobie. Oczywiście najlepsi edytorzy są też najlepiej opłacani. Dlatego właśnie książki wydane przez Harvard tak dobrze się czytają.

Do tego dochodzi dystrybucja oraz marka wydawnictwa. Wydanie książki w znanym — lub przynajmniej poważanym — wydawnictwie amerykańskim daje jej nieporównanie większe szanse na zaistnienie wśród czytelników, niż wydanie jej sposobem chałupniczym, w samizdacie lub nieomal-samizdacie. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale wciąż trzeba przypominać. Jak również o hierarchii wydawnictw — nie jest tak, że wydawnictwa dzielą się na dobre i niedobre. Wśród dobrych i niedobrych też istnieją subtelne hierarchie.

Ale czy to wszystko ma sens teraz, gdy mowa o integracji Europy, gdy narodowość rzekomo staje się przeżytkiem, gdy myślimy i działamy jako obywatele świata (a przynajmniej Europy), gdy uważamy np. Powstanie Warszawskie za wielką pomyłkę? Sporo Polaków dało się nabrać na tego rodzaju argumenty. Zapominają o tym, że te kraje, które nawołują do bycia przede wszystkim obywatelami EU, już dawno utwierdziły obecność swojej nacji w Europie i nie muszą walczyć o

miejsce przy stole. Chętnie jednak nawołują inne narody do wyrzeczenia się narodowości i przytulenia się do jednego z „wiodących” państw.

No dobrze, powiecie, ale jak to wszystko osiągnąć? Wedle stawu grobla — gdy nie ma dostępu do Parnasu, trzeba wydawać w samizdatach przebranych za wydawnictwa. W takich wypadkach nadzieją na zaistnienie jest rozsyłanie bezpłatnych egzemplarzy w sposób bardzo hojny. Co zresztą należy też robić z książkami, które ukazały się w markowych wydawnictwach. Czytam o astronomicznych rachunkach za przeloty samolotowe członków Sejmu i Senatu, opłacanych przez polskiego podatnika . Za jedna wyprawę do Tajlandii można kupić i wysłać sto grubych książek w twardych okładkach.

Ewa Thompson
Rice University